

Hekatomba polskiej prawicy

Dopiero pisząc tę książkę, zrozumiałem, jak straszliwa wyrwa pokoleniowa w polskiej prawicy pojawiła się wraz z wymordowaniem lub zepchnięciem na margines ludzi obozu niepodległościowego. Skala wyniszczenia „reakcji” i jej długotrwałe rezultaty społeczne bardzo słabo tkwiły w świadomości zbiorowej – mówi **Piotr Semka**, autor książki *My reakcja*, w rozmowie z Janem Hlebowiczem

Niedawno ukazała się Pańska książka *My reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956. Ktoś, kto do niej nie sięgnął, może pomyśleć: „Kolejna rzecz o Żołnierzach Wyklętych”*.

Poniekąd ten ktoś miałby rację, bo zbrojnemu podziemiu niepodległościowemu poświęcam sporo miejsca.

A jednocześnie idzie Pan dalej.

Tak, ponieważ grupa „ludzi wyklętych”, odrzucających marksizm, którym przyszło żyć po wojnie w Polsce pod władzą komunistów, była znacznie większa. Zaliczam do nich zarówno przedwojennego polityka vegetującego po 1945 roku, jak i chłopca z wołyńskiej wsi czekającego tygodniami pod namiotem ze słomy na pociąg, który wywiezie go z ojczystej, kresowej ziemi, oraz byłego akowca, który po wojnie nie zdecydował się zapisać do PZPR, a jednocześnie nie kontynuował działalności konspiracyjnej. Przyjmował raczej zasadę wkomponowania się w nowy świat w roli tzw. bezpartyjnego fachowca. Przykładem takiej postawy był ojciec Lecha i Jarosława Kaczyńskich, Rajmund.

Ważne miejsce w książce zajmuje Kościół, a w szczególności prymas Stefan Wyszyński, którego nazywa Pan gigantem.

Jeszcze przed wojną przyszedł prymas wnikliwie studiował naukę społeczną i wglębiał się w kwestie robotnicze. Potrafił skutecznie polemizować z założeniami marksizmu.

Miał też kwalifikacje do prowadzenia przez cztery lata niebezpiecznej gry – przedłużania bytu Kościoła bez większej fali represji.

Chodzi o lata 1949–1953, niewolne od błędów prymasa. Mam na myśli słynne porozumienie państwo – Kościół z 1950 roku, zawierające sformułowanie o zwalczaniu przez Kościół „zbrodniczej działalności band podziemia”.

Prymas wiedział, że wchodzenie kapłanów w konspirację WiN-owskie czy NSZ-owskie to droga donikąd. Sprzeciwiał





Fot. East News

► Prymas Polski Stefan Wyszyński wpisuje się do księgi pamiątkowej podczas gdańskich obchodów milenium chrztu Polski; widoczni także m.in.: ks. Hieronim Goździewicz (na prawo za prymasem) i proboszcz parafii Świętego Ducha w Gdańsku, ks. Józef Zator-Przytocki (podtrzymuje księgę); 29 maja 1966 roku

się temu jednak nie ze strachu przed nową władzą, ale dokładnie na odwrót, aby wzmocnić pozycję Kościoła, by nie dawać pretekstu do frontalnego ataku. Oczywiście wielu księży wyznających antykomunizm w tradycyjnej, przedwojennej formie nie rozumiało jego taktyki. Ustępstwa Wyszyńskiego traktowali jako serwilizm wobec komunistów, a nie przemyślaną politykę. Prymas wyszedł z pojedynku z komuną obroną ręką. Kościół pod jego kierownictwem nie został tak osłabiony, jak miało to miejsce choćby na Węgrzech. Wyszyński sprawnie poradził sobie z ruchem księży patriotów, czy-

li swoistą piątą kolumną wewnątrz Kościoła. Poprowadził wiernych do Wielkiej Nowenny i milenium chrztu Polski, bez których trudno sobie wyobrazić następne ćwierć wieku naszej historii: pontyfikat św. Jana Pawła II, Solidarność i odzyskanie wolności w 1989 roku.

Obok prymasa Wyszyńskiego swoje miejsce w książce znalazł Bolesław Piasecki. Postać dla wielu jednoznacznie negatywna. Tymczasem Pańska ocena jest złożona.

Piasecki przed wojną pozował na kogoś w rodzaju Gabriela D'Annunzia, prekursora włoskiego ruchu faszystowskiego. Radykalizm Obozu Narodowo-Radykalnego mu nie wystarczał, dlatego poszedł krok dalej. Co ciekawe, „Falanga”, jego nowe ugrupowanie, budziła swoimi metodami pałkarskimi niepokój nawet w środowisku narodowców. Po 1945 roku Piasecki w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach został prawnym figurantem, mającym uwiarygodnić nową, komunistyczną władzę, a także rozbić od wewnątrz Kościół katolicki. Z drugiej strony grupa Piaseckiego stała się azylem dla ludzi, którym bezpieczeństwo deptało po piętach – byłych akowców czy żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. A wydawnictwo PAX miało duże zasługi w zapoznawaniu czytelników z najlepszymi katolickimi myślicielami ówczesnej Europy. Można się zastanawiać, w jakim stopniu pójście Piaseckiego na współpracę było wynikiem śmiertelnego lęku przed egzekucją w lochu katowni, a w jakim funkcją makiawelicznych pomysłów napełnienia polskiego marksizmu narodowo-katolicką treścią? A może między obiema przyczynami nie ma sprzeczności? Tak czy inaczej, tę pseudokatolicką piątą kolumnę objęli kuratelą najbardziej inteligentni funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, m.in. Luna Brystigerowa. Wiara Piaseckiego, że będzie partnerem dla władz, została bardzo szybko zmiotą.

Piotr Semka (ur. 1965) – dziennikarz i historyk, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w ostatniej dekadzie PRL działacz opozycji i Niezależnego Zrzeszenia Studentów, dziś publicysta tygodnika „Do Rzeczy”, autor m.in. książki *Lewy czerwcowy* (1993 – wspólnie z Jackiem Kurskim), *Lech Kaczyński. Opowieść arcywłoska* (2010) i *Za, a nawet przeciw. Zagadka Lecha Wałęsy* (2013)



Fot. PAP / Anek Markowicz



Fot. PAP / CAF / Witold Rozmysłowicz

► Bolesław Piasecki (z lewej) otrzymuje odznaczenie od Edwarda Gierka; 1974 rok

My reakcja to książka zdominowana przez mężczyzn, w której bardzo wyraźnie podkreśla Pan rolę kobiet.

Mężczyźni ginęli pierwsi. To oni byli na celowniku tajnych policji, a potem łapani w trakcie likwidowania konspiracji. A kobiety zostawały same. Musiały sobie radzić z prowadzeniem gospodarstw domowych, wyżywieniem dzieci. Oddawały swoim pociechom dosłownie ostatni kawałek chleba, same znosząc głód i niedostatek. Prawdziwe piekło przeżyły kobiety wywiezione na Sybir. Transportowane w bydłych wagonach, suszyły przeprane pieluszki ciepłem własnego ciała. Ekstremalne warunki wywózek były okrutnym, ale często przynoszącym chlębę egzaminem z odpowiedzialności macierzyńskiej.

Feministki byłyby oburzone. Heroizm kobiet to prowadzenie domu, wyżywienie dzieci i suszenie pieluszek...

Feministki niemądrze próbują przeciwstawiać pamięć o mężczyznach i kobietach. Odwaga, niezłomność i poświęcenie kobiet to jedne z najpiękniejszych cech polskiej tradycji narodowej.

Książka jest obszerna. Na niemal dziewięćset stronach znajdziemy odwołania do literatury, dialogi filmowe, relacje z gazet i wspomnienia świadków. Ale jeden z rozdziałów różni się od pozostałych. Jest bardzo osobisty.

Opisuję w nim losy moich dziadków. To dwa różne życiorysy wojenne i dwa odmienne spojrzenia na obowiązek patriotyczny w chwili końca wojny. Dziadek Jan już od 1940 roku należał do Narodowej Organizacji Wojskowej, która trzy lata później weszła w skład Armii Krajowej. Sam nadzorował przystąpienie do konspiracji swoich synów, w tym mojego ojca. Po wojnie wraz z rodziną wrócił na Pomorze, które doczekało się powrotu do Polski. Zaczął współpracować z 5. Wileńską Brygadą AK Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Tą samą, w której działała sanitariuszka „Inka”. Dziadek Jan został aresztowany przez UB, przeszedł brutalne śledztwo i skazano go na trzy lata więzienia.

A jak było z Józefem Woźnickim, Pańskim dziadkiem ze strony matki?

W latach trzydziestych służył na kontrtorpedowcu „Wicher”. W czasie okupacji kierował Wywiadem Morskim Komendy Głównej AK. Potem przeżył piekło Powstania Warszawskiego. Od samego początku rządów komunistów nie łudził się, że jest możliwy jego powrót do marynarki wojennej. Wykładał na Politechnice Gdańskiej. Przyjął postawę „państwowca”, ale trzymającego się z dala od PPR. Jednak podpis Bieruta na Krzyżu Zasługi, przyznanym dziadkowi w latach pięćdziesiątych za odbudowę gospodarki morskiej, kłuje dziś w oczy. Wybory Jana i Józefa odzwierciedlają postawy ludzi tamtych czasów. Ci, którzy wybierali aktywność „pozytywistyczną”, musieli przyglądać się beczynnemu, jak deptane jest wszystko, co dla nich święte. Z kolei uczestnicy konspiracji często dochodzili do refleksji, że ich działalność ma charakter straceńczy.

Stawia Pan ciekawą tezę, że nieublagany gdański antykomunizm oraz duch wolności wynikały z wileńskich korzeni – kresowego wychowania, głębokiej wiary i żarliwego patriotyzmu ludzi, którzy przybyli na Pomorze po 1945 roku. Bez nich – twierdzi Pan

– nie byłoby Grudnia '70 i Sierpnia '80. Tymczasem władze miasta od lat przekonują mieszkańców, że niezależność i solidarność gdańszczan wynika z ich hanzeatyckiej przeszłości.

Gdańscy wilniuchy nie mieli złudzeń, czym jest komunizm. Pamiętali dwie sowieckie okupacje, wiarołomny atak NKWD na AK po zdobyciu Wilna. Wiedzieli, czym są nocne aresztowania, wywózki, strzały w tył głowy. I właśnie te nagromadzone przez lata rachunki wyrównali, paląc w grudniu 1970 roku pałac władzy komunistycznej, czyli Komitet Wojewódzki PZPR. „Wileński brak złudzeń” wobec komunizmu był widoczny także w gdańskiej opozycji. Na przykład dla ludzi Ruchu Młodej Polski bohaterem był ks. Józef Zator-Przytocki, proboszcz kościoła „na Czarnej” we Wrzeszczu, kapelan i podpułkownik kresowych oddziałów AK. Uważam więc, że to wileńskie korzenie, a nie na siłę przywoływane tradycje Hanzy, uczyniły z Gdańska miasto wolności. Miasto, które w końcu z powodzeniem rzuciło wyzwanie komunizmowi.

Zakończenie to swoisty hold oddany wszystkim rozstrzelanym. Ja odczytałem je bardziej jako hold wszystkim wymazanym z kart historii.

Dopiero pisząc tę książkę, zrozumiałem, jak straszliwa wyrwa pokoleniowa w polskiej prawicy pojawiła się wraz z wymordowaniem lub zepchnięciem na margines ludzi obozu niepodległościowego. Skala wyniszczenia „reakcji” i jej długotrwałe rezultaty społeczne bardzo słabo tkwiły w świadomości zbiorowej. Niestety, diabelska logika totalitaryzmu powoduje, że ofiary są zawsze mniej wyraziste i barwne niż świat zwycięzców.

Dysproporcja między elitami lewicowymi a prawicowymi wytworzona w tamtym czasie jest widoczna do dzisiaj.

Oczywiście. Ludzie, którzy mogli w okresie Polskiej Ludowej wysłać swoje dzieci na zagraniczne uczelnie, byli związani z władzą. Natomiast ci, którzy stanowili przedwojenną elitę, wykrwawiali się w Powstaniu Warszawskim, potem w leśnej partyzantce, w PRL myśleli nie o robieniu karier, lecz o tym, jak przetrwać. Po powrocie z więzień, z wyniszczonym zdrowiem fizycznym i psychicznym, wegetowali latami za nędzne renty. Co więcej, „wrogowie komunizmu” nie mogli zapewnić dostatniej przyszłości swoim dzieciom, którym władze uniemożliwiały dostanie się na uniwersytet czy zajmowanie wyższych stanowisk w przedsiębiorstwach państwowych. Ten mechanizm pokutuje do dziś. Na medialnych salonach brylują osoby, które zawdzięczają swoją pozycję koneksjom rodzinnym mającym korzenie w Polsce Ludowej. ❄

Jan Hlebowicz jest dziennikarzem tygodnika „Gość Niedzielny”.

► Kardynał Stefan Wyszyński, 1979 rok

